Logotyp	Nazwa instytucji	
USTROŃ GÓRY RADOŚCI	Muzeum Ustrońskie	
Tytuł jednostki / publikacji / fotografii 90. lecie urodzin Profesora Jana Szczepańskiego. „Korzeniami wrosłem w ziemię”. Fragmenty tekstów z komentarzem.		
Ilość stron oryginału 35	Ilość skanów 35	Liczba plików publikacji 73
Autor Szczepański Jan, Broda	Wydawnictwo / zakład fotograficzny nieznane	Skan okładki 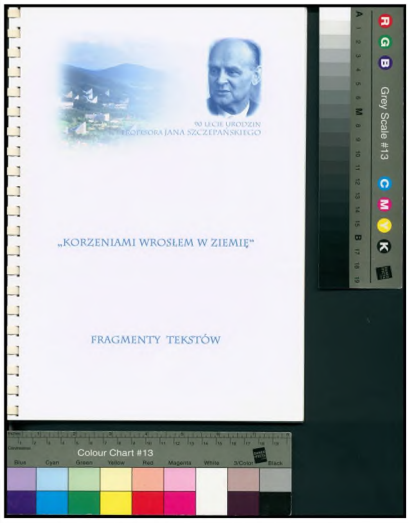
Miejsce wydania Ustroń	Rok wydania / Data powstania 23.09.2003 r.	
Sygnatura ---	Rodzaj zasobu (np. zdjęcie, czasopismo itp.) Druk zwarty	
Wymiary (wys x szer) XX wiek, 20 – lecie	Stan zachowania ---	Charakterystyka skanowanego obiektu Muzeum Ustrońskie
Hasła przedmiotowe (okres historyczny, postacie, miejsce) historia, etyka, protestantyzm, praca, Kościół Ewangelicko – Augsburski w Polsce, społeczeństwo, socjologia, filozofia, nauka polska, wychowanie, szkoła, wspomnienia, filozofia, regionalizm, Śląsk Cieszyński, Beskidy, dawny Ustroń, etnologia, obyczaje, Boże Narodzenie, mała ojczyzna, Ziemia Cieszyńska		
Hasła tematyczne (np. miasto, przemysł, kuźnia, letnicy itp.) Zbiór tekstów odczytanych 23 września 2003 r. podczas publicznego czytania fragmentów miniatur „Korzeniami wrosłem w ziemię” autorstwa Jana Szczepańskiego z okazji 90. rocznicy jego urodzin przez znane postacie związane z Ziemią Cieszyńską wraz z ich komentarzem do słów autora.		
Prawa autorskie ---		

90 LECIE URODZIN
PROFESORA JANA SZCZEPAŃSKIEGO

„KORZENIAMI WROSŁEM W ZIEMIĘ"

FRAGMENTY TEKSTÓW

Narrator:

Człowiek żył po to aby robić, to znaczy wykonywać przeznaczoną mu robotę. Robota była najistotniejszą treścią życia. Przede wszystkim była koniecznością życiową bo bez zaciekłej pracy kamienisty grunt podgórski nie dawał wyżywienia.

Aleksander Dorda:

Każdy przechodzień wchodząc na podwórko jednym spojrzeniem oceniał robotność, a zatem i wartość gazdy tu mieszkającego. Robota oznaczała także potwierdzenie wartości moralnej gazdy i jego rodziny. Człowiek robotny był człowiekiem dobrym. Bo robota stanowiła także religijne przymierze z Panem. Człowiek robotny nie miał czasu na grzechy, jakie by one nie były. Szanował także owoce swojego wysiłku zdobyte z boską pomocą i nie marnował ich na pijaństwo czy zbytki.

Religijne koncepcje protestanckie pracy wchodziły w umysły dzieci wraz z codziennym rytmem zajęć, z rozmowami dorosłych, z kazaniami czytywanymi co niedziela ze starych XVII-wiecznych postylli i pieśniami śpiewanymi w sobotę wieczorem i niedzielę rano ze starych luterskich "kancynołów". Robota nad siły była męką ofiarowaną Panu. Owoce roboty przynoszące dobrobyt i zadowolenie, dostatek i wygody były świadectwem życzliwości Pana. Robota także określała miejsce człowieka, a przede wszystkim rodziny w społeczności lokalnej. Wiedziało się dobrze, kto na Zawodziu jest robotny, a kto nie, gdyż było to widoczne jak na dłoni, kto skosił i zwiózł zboże w porę, kto w porę wykopał kartofle, w czyim zbożu rosły chwasty, jakie kto ma urodzaje, jak wyglądają jego krowy czy konie. Widać było, czy ktoś jest czysto umyty i ubrany. Zamożnym mógł być tylko człowiek robotny i jego też powoływano do przewodzenia innym - robotny znaczyło skromny, oszczędny, moralny, spolegliwy. A to decydowało o miejscu wśród sąsiadów i w gminie.

Robota wypełniała dnie od świtu do ciemności, bo po powrocie z pola zaczynało się obrządzanie świń, dojenie krów, oczywiście najpierw trzeba było nakarmić dobytek, a dopiero potem siebie. Długie mroki wieczorów jesiennych i zimowych wypełniało łuskanie grochu i fasoli, skubanie pierza, naprawianie zniszczonej odzieży; matka i siostry robiły na drutach grube skarpety z wełny z własnego barana. Te skarpety zwane "kopytka" nosiło się w "kyrpcach", a przetarte kyrpce ojciec sam łatał.

Potem, po wojnie, gdy Ustroń stał się letniskiem na początku lat dwudziestych i kiedy co lato w domu mieszkali "kąpielorze", wszystko powoli zaczęło się zmieniać - przyszły nowe poglądy i nowe obyczaje. Wtedy także zaczął się zmieniać pogląd na robotę, postawy wobec niej i jej rola w życiu.

Żniwa

Narrator:

To słowo znaczyło bardzo wiele. Znaczyło ciężką pracę, ale także spełnienie. Znaczyło dotrzymanie przymierza przez Pana i przez ziemię. Stąd waga żniw była prawie religijna.

Małgorzata Kiereś:

Żniwa u nas zaczynały się od koszenia żyta. Ojciec kosił "na ścianę", to znaczy kładł skoszony pokos na stojącą ścianę żyta, mama z sierpem "podbierała" ten pokos i zestawiała go w małych snopkach, a dzieci splatały ze ściętych łodyg "skrętki", małe powrósła, w które potem wiązano snopki. Jeżeli żyto nie było powalone, robota szła szybko i sprawnie, a jeżeli "kośców" było dwóch i dwie kobiety zbierały ze ściany, w ciągu dnia można było położyć duży kawał pola. Robota zaczynała się wtedy, gdy rosa podsychała, ale po nocy wietrznej i bez rosy koszenie zaczynało się wcześniej. Snopki kładziono szeroko, potem w słońcu przewracano, by lepiej obeschły, a wczesnym popołudniem wiązano je i ustawiano w "mondele". Tata łamał snopki umiejętnie i układał je z czterech stron tak, by kłosy zwisały w dół i w razie deszczu, woda po nich spływała. Dwadzieścia cztery snopki w mondelu, a zatem liczba mondeli na zagonach była już miarą urodzaju, gdyż każdy wiedział, ile namłóci z jednego mondela.

Przeszedłem tę całą hierarchię czynności składającą się na drogę chłopskiego dziecka, od kładzenia powróseł, robienia skrętek, odwracania pokosów, do grabienia, koszenia, wiązania snopów, wrzucania ich na furę lub układania fury, co było już sztuką nie lada, gdyż fura do stodoły jechała po bardzo nierównym terenie. Chyba zupełnie już jest zapomniana sztuka wiązania przypony, tak jak chyba zapomniana jest edukacja dzieci do trudu i życia pojmowanego jako obowiązek. Bo w tym całym obrządku roboty i wypruwania żył była nie tylko nadzieja na chleb. Było także poczucie zobowiązania wobec ziemi rodzącej plon, jakby poczucie, że za trud rodzenia plonu ziemia wymaga od człowieka równego wysiłku, że trzeba się trudzić nad miarę, by zasłużyć na plon.

Chleb

Narrator:

Chyba wcześnie odkryłem, że chleb jest istotą żywą. Ciasto wymieszane rękami mamy rosło w dzieży samo, nie dopilnowane, podnosiło wieko i samodzielnie wychodziło na świat.

Małgorzata Kiereś:

Rośnięcie chleba w dzieży było spełnieniem i zapowiedzią. Ten chleb krojony w potężne skiby, z masłem, twarogiem i mlekiem mama wynosiła w pole oraczom, kosiarzom, kopaczom, by z niego mieli siły oddawane ziemi, zbożu, kartoflom, koniczynie, czy burakom. A sam wypiek chleba był obrzędem i uroczystością, miał swoje specyficzne czynności, zabiegi i magię. Ojciec wnosił do "piekarszczoka" stare deski, suche, twarde kloce brzozowe, także drągi smrekowe - zestaw drewna był ustalony od bardzo dawna. Piekarski piec był wbudowany pod piecem, a przed nim w podłodze znajdowało się "piekiełko", czyli wgłębienie, w które wchodziło się, by bochny wsuwać do pieca specjalną okrągłą łopatą na długim drągu. Nią też wyjmowano chleb pachnący i gorący. I nie było większego przysmaku niż ciepły "skrowek" posmarowany masłem. Czym był chleb dla chłopskiego dziecka od najwcześniejszych lat jego życia? Składowym elementem porządku życia, pracy, procesów przyrody, obrzędów, nabożeństw, modlitw odmawianych w odpowiednich porach. Był jakby spełnieniem zapowiedzi wiosny i trudu jesieni. Miał cechy świętości, symbolu tych odwiecznych sił, w których łańcuchu przesuwały się pokolenia chłopskich rodzin na ojcowiźnie.

Chleba nie wolno było ani niszczyć, ani marnować, ani go poniewierać. Przechowywano go w komorze, chłodnej i wilgotnawej, krojono tyle, ile spożywano, pozostałe resztki zjadano w czasie następnego posiłku, karmienie inwentarza żywego, drobiu czy bydła chlebem było zwyczajnym grzechem, karanym surowo przez bezwzględnego, luterańskiego Boga. Dlatego do dziś uważam, że wiele współczesnych nieszczęść spadających na nasz kraj jest karą boską za marnowanie chleba.

Krowy

Narrator:

Jak z gruntau uprawnego w długim szeregu zdarzeń prac i zabiegów powstawał chleb, tak krowy dawały mleko do chleba, masło i twaróg..... Żeby mieć mleko i wszystko, co z niego pochodziło, trzeba było dbać o krowy w bardzo skomplikowanym systemie działań, uczuć, trosk i niepokojów.

Anna Gluza:

Krowa była wspólniczką w pracy produkcyjnej, była partnerem i współwychowawcą dzieci karmionych mlekiem jeszcze ciepłym bezpośrednio po udoju.

Krowy miały swoje imiona - zawsze na nowo powtarzane - zawsze była Rozeta, Malina, Łania i Nela. Wyprowadzone po raz pierwszy na pastwisko w początkach maja, gdy trawa już odrosła, szalały i gziły się, otrząsając z siebie oborną nieruchawość zimy.

Należało wtedy uważać, by się nie poraniły, nie złamały nogi, pilnować je tak jak niemądre, rozbrykane dzieci. A potem, w ciągu kilku dni, krowy przyzwyczajały się do wiosennego trybu istnienia - poranne karmienie i udój - w czasie udoju krowy zawsze dostawały trawę sparzoną wrzątkiem, posypywaną solą i otrębami - potem wychodziły na ogrodzone pastwisko w Brzezinie albo na powrozie prowadziło się je po miedzach między uprawionymi zagonami, wracały w południe na drugi udój także z karmieniem. Pastwiska były skąpe. Parę godzin krowy leżały w oborze przeżuwając, by koło czwartej znowu wyjść na trawę i wrócić o zmierzchu, kiedy na niebie można było naliczyć co najmniej piętnaście gwiazd.

Dziecko wcześnie dowiadywało się o ważności i potędze krów. Pasało je od najmłodszych lat, wcześnie łączyło smak chleba i masła z poczciwą, ociężałą żywotnością krów. Były także przyjaciółkami, można było się z nimi bawić, przywiązywały się i słuchały głosu, wezwań i próśb. Krowy były wrażliwe na paszę, traktowanie, łatwo się mogły czymś udławić; były też wrażliwe na czary - wymagały więc wielostronnej opieki i troski. Mama bardzo pilnowała, by były umyte, żeby wymiona miały czyste, żeby zawsze otrzymywały to, co im się należało. Tę wiedzę przekazywano od pokoleń, gdyż bez mleka nie można wyżyć, wychować dzieci, zarobić niezbędnych groszy - krowy w cyklu życia chłopskiego były jedną z tych sił trzymających świat w wiecznym ruchu. Nic więc dziwnego, że stary Legierski, gdy prowadził krowę do byka, wkładał stary frak - nie tylko wtedy kiedy szedł na wesele.

Mleko

Narrator:
Mleko, biała struga łącząca pokolenia. Życiodajna przydatność mleka w każdej dziedzinie życia chłopskiej rodziny stawała się dla dziecka oczywista od bardzo wczesnych dni.

Anna Gluza:

Było podstawą wyżywienia, służyło do karmienia prosiąt, z niego robiło się masło, mleko sprzedawało się letnikom lub na targu wraz z masłem, twarogiem i jajkami - wszystko to mama nosiła w dużym koszu z kabłąkowatym uchwytem w środku. Ale nim te "sztwiertki" masła i plastry twarogu znalazły się w koszu, był ogromny kompleks spraw: krowy, pastwiska, cielenie się krów, dojenie, złożone systemy czynności technicznych, magicznych, religijnych, społecznych. Gospodarka mlekiem to podział pracy, organizacja rodziny, hierarchie wartości, pogląd na siły przyrody, to sposób życia i sposób odżywiania. Trzeba było dokładnie wiedzieć, jak mleko "skiszczyć", jak je "ogrzoć", do jakiego worka wlać i jak długo musiało "ociekać", zanim twaróg włożono pod duży kamień, by z niego wycisnąć wodę, by był w sam raz miękki, słodki, by utargować za niego dobrą cenę. Bo nam, "dzieckom", smakował zawsze, a najbardziej wtedy gdy był zmieszany ze śmietanką i cukrem, co zdarzało się tylko w czasie ciężkich prac w polu.

Zadziwiająca była wrażliwość mleka na wpływy czarów. Gdy nosiło się mleko w bańce czy to na targ, czy do krewnych, szło się dokładnie chodnikiem, by nie wchodzić na cudze miedze, gdzie na mleko mógł paść urok, a w ten sposób także na krowę, od której to mleko udojono.

Wiedza o tym, w jakich miejscach mleko jest bezpieczne przed urokami, była więc wiedzą istotną. Lecz wiedzieliśmy także od bardzo wczesnych dni życia, że najważniejsza jest praca, "robota", że chcąc coś mieć, człowiek musi być "robotny", że oczywiście ta ludzka robotność też jest w rękach sił wyższych, decydujących o powodzeniu, zdrowiu, szczęściu i także o kiśnięciu mleka. Praca, modlitwa, wiedza magiczna - oto czym człowiek dysponował, by z kamienistego gruntu wydobyć chleb, a ze skąpych pastwisk życiodajne mleko.

Narrator:

Rozmowa była sprawą bardzo poważną. Człowiek mówiący byle co, bez odpowiedzialności za wypowiedziane słowa, był osoba niegodną szacunku ani zaufania.

Teresa Waszut:

Człowiek poważny mówił to, co wiedział naprawdę lub słyszał od człowieka godnego zaufania, od statecznego gazdy czy poważanego przybysza ze świata, jakimi byli na przykład druciarze. Słów kąpielorzy nie szanowano, przyjeżdżali i nic nie robili. Człowiek, który nic nie robił, nie zasługiwał na poważne traktowanie. Słowa towarzyszyły robocie i miały prawie równą wagę jak ona. Gdy rządek bab wykopywał kartofle i gdy na lipowskim chodniku ktoś się pojawił, zaraz zawiązywała się poważna rozmowa, uzasadniająca przerwanie kopania i rozprostowanie grzbietu - kto, znajomy czy nieznajomy, jeśli znajomy, to dokąd idzie tego dnia i o tej porze, w jakiej sprawie, co się u nich stało, co zaszło w gospodarstwie, że zamiast robić w polu, idzie "do gminy". A jeśli nieznajomy, to skąd, po co i co z tego pojawienia się może wyniknąć dla nas. Życie bowiem toczyło się ustalone w rytmie dyktowanym przez porę roku, prace na ten czas przypadające i tylko wypadki nadzwyczajne mogły poważnego człowieka oderwać od tego, co miał w tym czasie robić. A i te wypadki były dobrze skatalogowane i ułożone w codziennej wiedzy o życiu.

Podobnie ze słowami - istniały trwale przyporządkowane sytuacjom życiowym i było dobrze wiadomo, kiedy, o czym i jak trzeba rozmawiać. Mama uczyła nas, "dziecka", tej wiedzy o słowach i mówieniu słów ważnych i odpowiednich. Słowo pisane też miało odpowiednią wagę. Raz na tydzień listonosz przynosił "Posła Ewangelickiego", a potem także "Głos Ludu Śląskiego", które czytało się powoli, rozważnie, od początku do końca całe cztery strony i te gazety zawierały wszystko, co można było wiedzieć o sprawach dalekiego świata.

Podstawę autorytetu słowa jednak stanowiło zupełnie coś innego: słowa były pochodzenia boskiego. Powstały stąd, że w nich Bóg objawił swoje Pismo. Były użyte do napisania Biblii i innych ksiąg religijnych. Służyły temu, by sławić Boga. Nie można więc tych słów ani lekceważyć, ani nadużywać, a tym bardziej poniewierać złym użytkiem.

Pranie

Narrator:

Pranie – to była czynność prania bielizny, a nazwa „prodło" oznaczała wszystkie prane sztuki, lecz przede wszystkim pranie było podniosłym obrzędem, wykonywanym zgodnie z tradycją, dokładnie, pilnie, prawie z nabożeństwem.

Teresa Waszut:

Pranie robiono więc wtedy, gdy nie było pilnych prac w polu, gdy był czas, potrzebny do wielkiego przedsięwzięcia. Cała rodzina w ogromnym wysiłku prac wiosennych paprała się w mokrej ziemi i gnoju czy w upale lata przepajała potem odzienie i było rzeczą kobiet zmyć z niej brud i pot, przywrócić czystość i lekkość, przesycić koszule i spódnice świeżością prądu potokowego, jasnością słońca i rzeźwością górskiego wiatru. Zostawiały w tej doskonałej czystości swoje zdrowie, rujnowały stawy i krzywiły kręgosłupy.

Patrząc teraz z tej wielkiej perspektywy minionych dziesięcioleci, gdy nie ma już troków, żberków i putni do wody, gdy detergenty zastąpiły bielenie w słońcu i wietrze, a pralki szorowanie na tarkach, gdy automatyczna pralka wymaga tylko nastawienia programu, widzę, że zmieniła się przede wszystkim filozofia życia. Pranie było elementem życia, w którym robota stanowiła jego sens. Robota, jak modlitwa, musiała być wykonana "choćby kije z nieba leciały". Robota to był trud i brud, pot i kurz, błoto i gnój. To wszystko człowiek robotny brał na siebie i z tego wydobywał chleb. Pranie dawało mu czystą koszulę, czyste odzienie, by w dzień spoczynku idąc do kościoła był godny pochwalić Pana, że dał mu robotę i siłę do jej wykonania. Był czysty i obmyty. To sprawiały gaździnki, które w niedzielę wkładały suknie, czyli sukienne, fałdowane spódnice obramowane błękitną lemką z pięknym aksamitnym i kolorowo wyszywanym "żywotkiem", białym "kabotkiem", koronki, czepiec, "kwosek" i "szatkę" na głowę i szły dostojnie, z kancynołem w ręku do kościoła, obok gazdy ubranego "po czornu" ze śnieżnobiałą koszulą. By dokończyć prania duszy.

Jedzenie

Narrator:

Jedzenie - jako czynność spożywania posiłku - nigdy nie było w naszym domu celebrowanym obrzędem, a jedzenie jako potrawa nie było przedmiotem kultu. Stanowiło konieczność, oczywiście także przyjemność i mama uważała za swój obowiązek nakarmić rodzinę jak umiała najlepiej. Starała się także dzieciom podawać jakieś smakołyki, jednakże nie za często.

Józef Broda:

Jedzenie nie było oczywistym prawem każdego. Na jedzenie trzeba zasłużyć robotą. Podobnie jak odpoczynek, jedzenie uzasadniała praca. Nie formułowano w słowach zasady "kto nie pracuje, ten nie je", ale stosowano ją w codziennym postępowaniu.

Nie pamiętam w domu głodu - dobrze uprawiana ziemia przynosiła plon wystarczający i zapobiegliwa gospodarność zawsze gromadziła zapasy.

Jedzenie nie było czynnością skupiającą rodzinę i zebrania przy stole nie stanowiły obrzędu rodzinnego. Posilano się raczej dość pośpiesznie, bo "robota czekała". Jadano, by żyć, a nie odwrotnie. Posiłki spożywano pięć razy dziennie, śniadania, obiady i kolacje zawsze z czymś gorącym. Na kolację najczęściej pozostałe od obiadu kartofle podgrzewane ze skwarkami i do tego zimne mleko. W zimie często na kolację jadaliśmy marchew drobno pokrojoną i ugotowaną z grochem, czego serdecznie nie lubiłem. Na drugie śniadanie i podwieczorek kromka chleba z mlekiem. Ojciec na podwieczorek brał "roz do gymby", czyli dużą pajdę chleba z kawałkiem wędzonej słoniny.

Tak odżywiali się nie tylko chłopi. Rodziny robotników ustrońskiej huty (istniejącej do lat siedemdziesiątych XVIII wieku), mieszkający w "kozim mieście", czyli kolonii w Hermanicach, też produkowali sobie własną żywność. Każda rodzina dzierżawiła u chłopów jakieś zagonki, na których uprawiała ziemniaki i kapustę, trzymała wieprzka, kozy wypasane przez dzieci "na kamieńcu" nad Wisłą oraz króliki. Zagony dzierżawiono za odrobek, chłopi mieli więc ręce do pracy w polu, a robotnicy własną żywność.

Filozofia jedzenia z tamtych lat była bardzo daleka od teorii masowej konsumpcji, orzekającej, że konsumpcja jest dobrem sama w sobie, bez względu na to, czy jest uzasadniona pracą czy też nie, jest bowiem koniecznym warunkiem masowej produkcji.

Odpoczynek

Narrator:

Odpoczynku było mało w życiu chłopskiej rodziny w początkach XX wieku, gdyż w piątek i świątek trzeba było "porobić kole bydła", a w sianokosy czy żniwa też się pracowało bez względu na święto. To znaczy nikt w święto nie kosił, ale grabienie i zwożenie to inna sprawa - plon musiał być ratowany i dobry Pónbóczek to akceptował.

Józef Broda:

Odpoczynek był nie tylko regeneracją sił dla dalszej roboty, lecz także przerwą na życie towarzyskie. Składanie wizyt w czasie pilnych robót w polu traktowano jako bezsensowny wybryk i nikomu nie przychodziło to do głowy. Odpoczynek polegał na wyprostowaniu kości i rozluźnieniu mięśni. Pojęcie pracy umysłowej i zmęczenia psychicznego nie mieściło się w tym obrazie świata. Na kąpielorzy opowiadających o swoim zmęczeniu patrzyło się z dobrotliwą ironią i politowaniem, przecież nic nie robili, to od czego mają się czuć zmęczeni?

Odpoczynek to nagroda za ciężki trud. Nie może sobie tego wyobrazić ktoś, kto nie przeszedł przez pole z kosą przez czternaście godzin od szarzejącego świtu do czerniejącego zmroku i nie wracał do domu pod nieśmiałym migotaniem pierwszych gwiazd, zesztywniały w stawach i z bolejącymi mięśniami, a jednak pełen zadowolenia i dumy, jakiejś radości prawie religijnej, jakby wracał od spowiedzi i pokuty zarazem, obmyty i czysty, chociaż lepki od potu. Bo dotrzymał jakiejś obietnicy, nigdy nie wypowiadanej, a jednak wiążącej, dotrzymywał przymierza z ziemią, która w trudzie zrodziła plon, a człowiek miał go w trudzie zebrać. Jeśli dotrzymał obietnicy, mógł odpocząć.

W siódmym dniu i Bóg odpoczął, ale on stworzył świat tak, by wszystko w świecie szło już samo, mocą tego pierwszego Boskiego impulsu. Człowiek wokoło każdej swojej rzeczy, zwierzęcia, sprawy, musiał zabiegać i robić nieustannie i na tym polegała jego ułomność wobec doskonałości Boskiej. Odpoczynek podobnie jak robota zawierał więc te elementy religijne: robota była kontynuowaniem tworzenia świata, a odpoczynek uczestnictwem w tym pierwszym pańskim dniu siódmym. Stąd w każdym dniu odpoczynku należało chwalić Pana nabożnymi pieśniami, odpowiadającymi porze roku i porze kościelnej. Prawdziwy i ostateczny odpoczynek miał nastąpić dopiero "na ojcowskim łonie", jak to zapowiadała "pieśniczka z kancynoła". A na ten trzeba było zasłużyć ciężką robotą całego życia.

Wiara

Narrator:

Wiara była przede wszystkim stylem życia, sposobem przeżycia w ciężkiej walce o byt, uzasadniała i nadawała sens pracy ponad siły. Ale tylko taka praca mogła utrzymać jednostki, rodziny, zbory liczące wyłącznie na siebie i na "przymierze z Panem". Religia uświęcała pracę, bo z niej utrzymywali się wierni.

Prof. Halina Rusek:

Religia zastępowała wiele obecnych dziedzin życia. Organizowała odpoczynek niedzielny i świąteczny. Organizowała systematyczne spotkania członków wspólnoty. Zastępowała całość życia kulturalnego, gdyż poza świętami uroczystościami, jak urodziny i chrzciny, śluby, wesela, pogrzeby i stypy - wszystkie uporządkowane religijnie - i z nimi związanymi obyczajami, mało było zabaw i rozrywek.

Religia i wiara zostały przekazane przez przodków - tak jak chodniki wydeptane po miedzach czy w lasach. Była niepojęta, mówiła o sprawach boskich, ale równocześnie była częścią dnia powszedniego. Może to z tych czasów, kiedy Boga nie szukało się w wielkich i wspaniałych świątyniach, ale kiedy on sam przychodził do wiernych, do ich domów, gdy go wzywali w ciężkich chwilach lub śpiewali pieśni ku jego czci, utwierdził się osobisty kontakt z Panem. Ta wiara stanowiła część codzienności i było wiadomo, że Bóg towarzyszy ludziom, robotnym, przygląda się ich pracy, chwali lub gani.

W Ustroniu, tak jak w wielu innych wsiach cieszyńskich, żyli obok siebie ludzie różnych wyznań. Naszymi sąsiadami byli i ewangelicy, i katolicy. Byli też wyznawcy różnych sekt. Oczywiście każda wyznaniowa grupa żywiła naturalne poczucie wyższości i lepszości. Mało jednak obserwowało się otwartych antagonizmów, chociaż więź wewnątrz wyznania stawiano ponad inne rodzaje solidarności. Katolikom trudno zrozumieć ten prawie osobisty u każdego luteranina, poufały stosunek do Boga. Religia luteranów nie była sprawą tylko kościoła i nabożeństwa, liczyły się one jako potwierdzenie *spólnoty* wszystkich członków społeczności z ich Bogiem, ale prawdziwa religia przejawiała się w codziennym życiu, a przede wszystkim w pracy.

Narrator:

Dom oczywiście był osią świata, który się na nim wspierał i koło niego obracał. Każda strona świata odpowiadała jednej ścianie domu. Każda sprawa życiowa, podobnie jak każdy dzień, zaczynały i kończyły się w domu. Przed deszczem, burzą, śniegiem, nocą i ciemnością, przed rozbójnikami, nocznicami, złymi duchami - bronił dom. Był równie wielki, trwały i spolegliwy jak rodzice. Był składnikiem wieczności dziecięcego świata.

Prof. Halina Rusek:

Z placu między domem i stodołą wchodziło się po czterech kamiennych schodkach do sieni dzielącej dom na dwie części. Po prawej stronie za drzwiami było miejsce na "kamień", długi, płaski, służący do maglowania "prodła". Potem były drzwi do "starzykowej izby", bo w niej kiedyś zamieszkali rodzice ojca, kiedy oddali mu gospodarstwo, a sami przeszli "na wymowe". Po lewej stronie drzwi prowadziły do pokoju rodziców, wielofunkcyjnego, służącego jako salon, sypialnia, jadalnia dla gości. Dalej po prawej stronie były drzwi do piwnicy, a jeszcze dalej drzwi do stajni dla koni.

W kuchni tuż za drzwiami, po prawej ręce było okno wychodzące na stronę, gdzie stała obora i chlewiki, po lewej stał piec kuchenny z błękitnych kafli, zbudowany przez ojca chyba na początku lat dwudziestych; ojciec był z niego bardzo dumny. Pod tym piecem duży "piekarszczok" do pieczenia chleba, zabierający sporo miejsca także w sąsiednim pokoju. W kuchni stał stół, ławy z szerokich desek, koło pieca kuchennego węższa ława do stawiania garnców, w których gotowano paszę dla krów i świń, strawę dla nas. Koło stołu w ścianie głęboka wnęka, w niej półki z bardzo grubych dębowych desek, na nich naczynia. Półkę zasłaniała wyszywana "deczka". Naprzeciwko stała wirówka do mleka i obok łóżko.

Gdy zamknę oczy, widzę dokładnie ten dom z wczesnego dzieciństwa, przebudowany najpierw przez ojca przy gorącym sprzeciwie jego rodziców, a potem przez siostrę, przy równie gorącym sprzeciwie starego już ojca. Widzę kuchnię w wieczory zimowe, gdy na stole stoi odwrócony dnem do góry duży garnek, a na nim naftowa lampa, która w dzień wisiała na futrynie drzwi prowadzących do pokoju obok. Przy tym świetle i cieple kuchni skupiało się życie rodziny.

Dom to nie tylko spokój. Oznaczał organizację życia, rutynę i porządek bytu. Istnienie człowieka było uporządkowane według urządzenia domu. Każda czynność, każda rzecz miała tu swoje miejsce, dokonywała się w wyznaczonym czasie, spełniała dobrze określoną funkcję. W tym domu było mało miejsca, gdyż krowy, świnie, kury, a także pole i ogród też zajmowały w nim swoje miejsce. Było to centrum obejścia, gruntu, a także całego, liczącego się świata, zatem dom musiał być zorganizowany według potrzeb koniecznych tego świata. Doskonałość gospodarstwa zależała od doskonałości domu. Dom musiał więc być doskonały. Dzieci musiały dorastać do jego doskonałości. Dom zapewniał nie tylko ciągłość pokoleń, ale także ich jakość.

Szkoła

Narrator:

Czym była szkoła dla chłopskiego dziecka, które w wieku lat sześciu musiało do niej pójść? Na pewno nie należała do zwykłego chłopskiego życia. Stała w "gminie", to znaczy w centrum wsi, i koło kościoła, była ogromnym piętrowym gmachem, miała duże okna, a więc zupełnie niepodobna do ludzkiego mieszkania.

Ireneusz Szarzec:

Wyobrażenia o szkole były niejasne. Z opowiadań ojca i starszych sióstr szkoła wyłaniała się przede wszystkim jako miejsce, gdzie panował "mores" wspomagany biciem. Było wiadomo, że nauczyciele biją, trzcinką po łapach albo po tyłku. A równocześnie szkoła była także bliska kościoła i miała coś równie przejmującego jak kościół, do którego chodziłem znacznie wcześniej niż do szkoły. Chodzenie do kościoła kojarzyło się przede wszystkim z butami. Do kościoła chodziło się w butach, widocznie Pónbóczek nie lubił dzieci chodzących boso lub w kyrpcach. A buty zawsze albo obcierały pięty, albo ugniatały, a w zimie nogi w nich strasznie marzły. Natomiast do szkoły, na szczęście, chodziło się od wiosny do jesieni boso, a zimą w kyrpcach.

W szkole w korytarzu wisiał napisany ozdobnie wiersz:

Z myślą o tym, że tu szkoła
Wstępuj jakby do kościoła.
Skromnością i statkiem uszanuj te mury,
Bo Bóg wszechmogący patrzy na cię z góry.

Wyposażenie ucznia pierwszej klasy było proste. Tabliczka "kamienna" obramowana drewnianą ramką, w ramce otworek na sznurek, a na sznurku mała gąbka. Rysik do pisania i elementarz. To wszystko. Na tabliczkę trzeba było uważać, bo mogła się rozbić. Druga poważna sprawa to dojście do szkoły i powrót z niej.

Szkota to nauczyciele. Naszym nauczycielem był Paweł Lipowczan, który na wojnie stracił jedno oko; postrachem był Matula mieszkający w budynku szkolnym i pilnujący porządku, nad wszystkim czuwał dobrotliwy dyrektor Michejda. Prestiż nauczyciela był ogromny, równy prawie prestiżowi księdza, gdyż nauczyciel także miał coś wspólnego z siłami nieziemskimi. I choć na przykład "rechtór" Lipowczan był naszym powinowatym, należał do innego wymiaru. On nie "robił" w polu i koło bydła. On miał do czynienia z książkami, a w życiu luterskich rodzin księgi były symbolem wartości najwyższych.

Przed szkołą znajdował się mały ogródek z kwiatami i jarzynami rechtora Matuli i duży plac; po drugiej stronie stał kościół. Tu podczas przerw biegały dzieci w środku placu i na trawniku rosły drzewa i krzaki.

Mgliste wspomnienia mówią mi, że nauka poznawania liter i sylabizowania początkowo szła mi kiepsko, aż wreszcie przyszedł - to pamiętam już dobrze - nagły moment olśnienia, kiedy czytanie jakby się objawiało w swej kunsztownej prostocie. Od drugiej klasy już czytywałem namiętnie książki. Wtedy zacząłem wychodzić ze świata chłopskiego absolutyzmu. Ponad gruntem, trawą, zbożami, domem, krowami, chlebem był drugi świat. Inny niż świat bajek. Niewidoczny jak świat z bajek, a jednak realny. Świat wczarowany w książki. Wówczas i szkoła okazała się oknem na ten inny świat.

Targi

Narrator:

Targi były też co tydzień w Ustroniu, w rynku, gdzie znajdowały się stoły i ławy, za którymi stawały gaździnki ze swoimi koszami, bańkami i mlekiem.

Ireneusz Szarzec:

Mleko odmierzały blaszanymi "półlitroczkami" z cechą, świadczącą o rzetelności miary. Masło sprzedawano w "sztwiertkach", czyli w kawałkach odmierzonych, i to odmierzanie masła w sztwiertki też było swoistym obrzędem. Miarka była drewniana, dłubana w jednym kawałku drewna, z pięknymi wzorami wyrytymi na dnie. Każda gaździnka miała własną sztwiertkę z własnym wzorem. Już w czasie robienia masła w maśniczce miarka moczyła się w gorącej wodzie, potem w zimnej, tak by świeżo zrobione masło nie przywierało do formy, a wgnieciona bryła wyskakiwała po uderzeniu w dno do przygotowanego garnka z zimną wodą. Te sztwiertki, czyli jedna czwarta kilograma, mama układała w piramidę na talerzu, nakrywała białą serwetką i w koszu niosła na targ. Na targ noszono także owoce, zboże, ziemniaki, groch, fasolę, jaja, czasem kury lub kurczęta. Targ w Ustroniu byt małą okazją. Do Skoczowa jeździło się z poważnymi sprawami: sprzedaż czy zakup prosiąt, sprzedaż cieląt na hodowlę, zakup krów, zakup narzędzi do gospodarstwa, czasem także i ubrania. Natomiast "wyłupki" gęsi, pracowicie przez siebie wytuczonych specjalnymi kluskami, mama zawoziła do Cieszyna, bo tam był na nie lepszy zbyt. Z takiej wyprawy do Cieszyna, oczywiście pociągiem, mama zawsze nam przywoziła jakiś upominek i dzieci czekały na jej powrót z wielką niecierpliwością. To po wyprawie z wyłupkami gęsi mama przywiozła mi pierwszą książkę "Dolina bez wyjścia" Mayne Reida. Byłem wtedy już w trzeciej klasie. Radość pamiętam do dziś. To moja pierwsza własna książka.

"Na Jakuba" czekało się cały rok. Czasami jeździliśmy do Wisły "na Pietra i Pawła" furmanką z Pustek; powoził brat mamy. Na tej furmance między drabinami stały ławy z desek, a w drabiny wplatano gałęzie - co nadawało świąteczności tej niecodziennej wyprawie. Gdyż każda rocznica założenia kościoła była świętem nie tylko jednego zboru, ale całej luterańskiej społeczności. My, dzieci, mało wtedy przywiązywaliśmy wagi do wyznaniowej solidarności. Nas interesowały stragany, katarynki, strzelanina, karuzele i huśtawki.

Targi są jeszcze - ale czy błyszczą niezwykłością, czy są już tylko szarym tłem codziennie działających sklepów, wyspecjalizowanym elementem rynku ? Może kryzys przywraca im nieco dawnego blasku i uroku.

Narrator:

Skąd my się tu wzięli, tu, w Brzezinie? Było oczywiste, że byliśmy tu od zawsze, że byliśmy częścią tego gruntu, kamieni i drzew. Stopniowo tylko ludzie i ich chodniki zaczęły się wyróżniać swoją jakością od gruntu, drzew, krów i gęsi.

Emilia Czembor:

Byłem już chyba w gimnazjum, a może w uniwersytecie, gdy ujec Wantuła przyniósł mi kartkę papieru zawierającą wyniki jego długich szperań w metrykach i księgach parafialnych wielu miejscowości. I wtedy się dowiedziałem, skąd "my się tu wzięli". W 1680 roku w Ligotce Kameralnej - dziś powiedzielibyśmy: na Zaolziu - urodził się Adam Szczeponiec, zagrodnik. To był ten najstarszy przodek, którego ujec Wantuła odnalazł. I tylko tyle mi o nim przekazał.

Mój Boże, jak to łatwo wyliczyć osiem pokoleń - jak łatwo zamknąć w kilkunastu zdaniach 200 lat dziejów, ale jak trudno wyobrazić sobie ten dom zagrodnika Szczepońca w Ligotce Kameralnej, a nawet ten pierwszy dom w Brzezinie, w którym w roku 1821 zamieszkał pierwszy Jan Szczepański z żoną Marią. Nie wiem nawet na pewno, ale przypuszczam, że był to dom z kamieni i cegły, który dopiero mój ojciec, gdy przejął gospodarstwo, przebudował, podniósł dach, ściany kamienne zastąpił ceglanymi, nie bez zdecydowanego sprzeciwu dziadka. Ten dom przebudowany przez ojca stoi do dnia dzisiejszego, tylko znowu z kolei przebudowany i uzupełniony przez siostrę przy równie zdecydowanym sprzeciwie ojca. Stoi pod wielkimi lipami i jasieniami, między starym budynkiem stodoły i obory, jeszcze z gromadą kur, ale bez krów i prosiąt. Przesłonięty piramidami domów wczasowych z jednej strony i wielkim blokiem szpitala reumatologicznego z drugiej, przycupnął, zmalał, ale pozostał centrum dawnego wielkiego świata.

Narrator:

Był mężem siostry mojego ojca. Mieszkali "na Gojach", w małym drewnianym domku pod ogromną lipą, nad strumieniem płynącym przez sad. Ujec w życiu moim objawiał się powoli - najpierw jabłkami, które przynosił dzieciom w kieszeniach "gunioka".

To było wczesne dzieciństwo; ale gdy się nauczyłem czytać, ujec objawił się tym, kim był naprawdę - właścicielem biblioteki, bibliofilem, pisarzem, szperaczem i badaczem, prawdziwym człowiekiem książki.

Emilia Czembor:

Ujec był niedużego wzrostu, miał gęstą czuprynę jasnych włosów, krzaczaste brwi nad łagodnymi, szarymi oczami. Przychodził do nas na Zawodzie w burzliwym okresie końca wojny światowej, kiedy działacze polscy rozbrajali wojsko austriackie, wywieszali polskie sztandary, organizowali Radę Narodową Księstwa Cieszyńskiego, gdy ojciec wrócił z wojny, gdy wszystko się zawaliło, a to, co wziął i zarekwirował Najjaśniejszy Pan, przepadło i została zwyczajna bieda. Pamiętam, jak ostre były te dyskusje, jak zażarte, odpowiadały tylko wielkiej bezradności i zagubieniu tych ludzi, którym cesarstwo mające stać wiecznie rozpadło się w rękach.

Miał więc ujec dobrą znajomość życia chłopskiego, życia robotniczego, znał dobrze środowiska intelektualne idealizowane z uwielbieniem, znał dzieje Śląska - pisał więc o sprawach ludu roboczego i góralskiego, o wyzysku i krzywdzie, o dziejach reformacji i przetrwaniu ewangelików, odkrył i opisał Jurę Gajdzicę z Cisownicy, który w ostatnich dziesięcioleciach XVIII wieku zebrał własną biblioteczkę, sporządzał sobie własny ekslibris i zostawił pamiętnik, w którym opisał rozbiory Polski i wojny napoleońskie - jak na chłopa-furmana wyczyn niebywały. Pisał, oczywiście, po polsku, na tym Śląsku oddzielonym od Polski od XIV wieku. Ujec należał więc do dziwnej formacji społecznej będącej chłopem - robotnikiem - inteligentem równocześnie. A w każdej dziedzinie działalności wspierała go siła i doświadczenie, wiedza i aspiracje pozostałych dwóch. Dlatego chyba ten genialnie zdolny syn chłopski, który do szkoły w Ustroniu uczęszczał przez dwie czy trzy zimy, samouctwem zdobył ogromną wiedzę, opanowując sztukę badania naukowego i pisania naukowego.

Narrator:

To był daleki i wielki świat. Skoczów też był miastem, ale niezbyt poważnym, bo jego fojt chodził w drewniakach, a Cieszyn był miastem dużym. W Cieszynie na Bobrku mieszkał Jędrys, taty brat, a drugi brat taty, Jónek, majster w hucie trzynieckiej, mieszkał na innym przedmieściu. Pierwsze zapamiętane wrażenie z Cieszyna to widok ogromnej kamienistej pustyni, jaka roztoczyła się przed moimi oczami, gdy prowadzony przez mamę za rękę, idąc z dołu, z doliny Bobrówki, od dworca kolejowego, weszliśmy na rynek.

Dr Bogdan Ficek:

Miał w środku figurę św. Floriana, jeżeli dobrze pamiętam, a najważniejsze budynki to ratusz z wieżą, słynny Dom Narodowy, hotel "Pod brunatnym jeleniem", sławny, bo w nim zatrzymywali się i cesarz, i arcyksiążęta, legenda mówiła, że i Napoleon, i wiele innych wybitnych osobistości. Dla dzieci jednak najważniejsze były podcienia. "Pod laubami" mieścił się "pokoik śniadańkowy" u Prchali, coś w rodzaju kawiarenki, baru i restauracyjki. Jeszcze w późnych latach trzydziestych był to zakonserwowany rezerwat dawnych cesarsko-królewskich czasów. Tutaj chadzaliśmy za gimnazjalnych czasów, a kiedy pierwszy raz z żoną odwiedzałem Cieszyn, to oczywiście weszliśmy także do Prchali, gdyż za drzwiami jego lokaliku czas się zatrzymał. Obok hotelu stał duży sklep Konczakowskiego z towarami metalowymi. Zatrzymywaliśmy się często przed jego wystawami oglądając z niemym zachwytem scyzoryki, noże myśliwskie, a może i broń myśliwską.

Od rynku ulica Głęboka schodziła do Olzy, a sieć innych uliczek rozpełzała się we wszystkich kierunkach, i w górę, na wzgórza w stronę kościoła ewangelickiego, i w dół, ku zamkowi stojącemu nad Olzą ze starą wieżą piastowską i romańską kaplicą, należącą do najstarszych budowli polskich. Może jednak gospoda "Pod modrą gwiazdą" była ważniejsza od zamku, wieży i kaplicy. W tych uliczkach czas również się zatrzymał. Stare szyldy, bramy, figury, studnia "trzech braci", gdzie spotkali się Lech, Czech i Rus, założyciele Cieszyna i trzech przyległych państw.

Cieszyn jednak to lata gimnazjalne, lata dojrzewania i odkrywania świata. Miałem w tym odkrywaniu mistrza wielkiej miary, Juliana Przybosia, opiekuna naszej klasy od czwartej do maturalnej, ósmej. Ale ramy tego odkrywania stanowił Cieszyn, w jego domach, fasadach, placach i uliczkach przebiegał ten proces formowania umysłów i wyobraźni.

„NIECH WAM NASZ GOŚCIRADOWIEC ZAGRA
ODE MNIE NAJPIĘKNIEJSZĄ MELODIĘ -
SZUMEM FAL PRZEMIJAJĄCEGO CZASU ”

JAN SZCZEPAŃSKI

CZYTANIE FRAGMENTÓW MINIATUR
„ KORZENIAMI WROSŁEM W ZIEMIĘ ”
ODBĘDZIE SIĘ Z UDZIAŁEM ZNANYCH
LUDZI ZIEMI CIESZYŃSKIEJ,
DLA, KTÓRYCH MAŁA OJCZYZNA
JEST ZAWSZE BLISKA SERCU:

JÓZEF BRODA

EMILIA CZEMBOR

ALEKSANDER DORDA

KRZYSZTOF DURLOW

BOGDAN FICEK

ANNA GLUZA

DANIEL KADŁUBIEC

MAŁGORZATA KIEREŚ

DANUTA KOENIG

JAN KROP

GRAŻYNA KUBICA

ZYGMUNT KŁODNICKI

JAN OLBRYCHT

HALINA RUSEK

IRENEUSZ SZARZEC

LIDIA SZKARADNIK

JAN SZWARC

TERESA WASZUT

MARIAN ŻYROMSKI

SPIS TREŚCI

OD AUTORA	STR	2
KRAJOBRAZ	STR	3
GOŚCIRADOWIEC	STR	4
GÓRY	STR	5
CHODNIKI	STR	6
ZIEMIA	STR	7
TRAWA	STR	8
SIANO	STR	9
ROBOTA	STR	10
ŻNIWA	STR	11
CHLEB	STR	12
KROWY	STR	13
MLEKO	STR	14
ROZMOWY	STR	15
PRANIE	STR	16
JEDZENIE	STR	17
ODPOCZYNEK	STR	18
WIARA	STR	19
DOM	STR	20
SZKOŁA	STR	21
TARGI	STR	22
PRZODKOWIE	STR	23
UJEC WNTUŁA	STR	24
CIESZYN	STR	25
„KĄPIELORZE”	STR	26
DOJEŻDŻANIE	STR	27
WYCIECZKI	STR	28
BOŻE NARODZENIE	STR	29
WIELKANOC	STR	30
NAJJAŚNIEJSZY PAN	STR	31
RODZICE	STR	32

Od Autora

Pisałem te wspomnienia dla siebie, żeby przypomnieć sobie i uświadomić, z jakiej ziemi wyrosłem i z jakiej gleby społecznej i kulturowej czerpałem składniki formujące umysł, wyobraźnię i charakter. Wspomnienia nie są informacją historyczną czy etnograficzną, nie ma w nich intencji pouczania czy pokazywania przykładu. Przedstawiają świat, którego już nie ma i nie wróci. Chciałem go przywołać, by zrozumieć siebie, by sprawdzić korzenie tkwiące tam ciągle w kamienistym gruncie na Zawodziu, chociaż większość tego gruntu nie żyje już własnym życiem ani nie jest pobudzana chłopską pracą, gdyż została zabita wielkimi gmachami i asfaltem dróg, by zrozumieć własne przemijanie i zabłąkanie w świat nauki, polityki, organizacji międzynarodowych, które to światy chciałem współtworzyć sposobami wyniesionymi z Brzeziny na Zawodziu.

"Kąpielorze"

Narrator:

Ci, co przyjeżdżali do Ustronia w lecie, dzielili się na dwie kategorie zasadnicze: "kąpielorze" przyjeżdżali tutaj dla kąpieli borowinowych, a "świeżopowietrzocy" szukali tu dobrego powietrza górskiego i pięknego krajobrazu. Jedni i drudzy nie byli ludźmi na serio i w pełnym tego słowa znaczeniu. Do człowieczeństwa brakowało im cechy zasadniczej - nic nie robili, a było oczywiste,że człowiek to jego robota.

Dr Bogdan Ficek:

Jednakże na początku lat dwudziestych, już w odrodzonej Polsce, w Ustroniu zaczęły się pojawiać większe ilości kąpielorzy i świeżopowietrzoków. Ponieważ nie było wtedy jeszcze pensjonatów, więc wynajmowali pokoje u chłopów, a że nasz dom leżał w pięknym miejscu, więc rychło także i u nas zjawili się kąpielorze. My zaś na lato przenosiliśmy się ze spaniem na strych.

Targowali się o ceny za pokoje, za mleko i masło. Mieli pretensje, gdy wywoziło się gnojówkę w pole, że śmierdzi, jakby ktoś widział gdzieś nieśmierdzącą gnojówkę. Trzeba było zachowywać się spokojnie, bo spali długo rankami, jakby nie zdawali sobie sprawy z piękna wschodów słońca nad Równicą. Dziwili się naszym obyczajom, które przecież były prawdziwymi obyczajami prawdziwych ludzi, na przykład, że jedliśmy z jednej misy.

Ustroń stał się przede wszystkim letniskiem dla drobnego mieszczaństwa warszawskiego,dla urzędników, profesorów gimnazjalnych. Zjawiali się także i profesorowie gimnazjalni z Cieszyna, którzy niekiedy na furmankach przywozili wszystko, co im było potrzebne do urządzenia się na lato w chłopskim domu. Płacili, więc stawiali wymagania.

I tak powoli sienniki położone na deskach w łóżkach zmieniły się na materace leżące na sprężynujących siatkach. Zjawiły się nowe naczynia na mleko, śmietankę, twaróg i masło. Często mama lub siostry gotowały dla nich i wtedy gotowały tak, jak sobie życzyli. Wchodzili w nasze życie i zmieniali je stopniowo. Byli poważnym źródłem dochodu, z którym rodzice musieli się liczyć. Gospodarstwo powoli zaczęło zmieniać charakter, a przebudowa domu prowadzona była tak, by zyskać dodatkowy pokój do wynajęcia dla kąpielorzy.

Co roku było ich więcej, aż doszło do tego, że w lecie było ich znacznie więcej niż ustroniaków. Pamiętam dobrze, jak w jesienny wieczór miejscowy żebrak - filozof - posługacz, siedząc pod piecem nad miską jedzenia ofiarowaną mu przez mamę, rozwodził się nad kąpielorzami mówiąc: "tych ludzi, tego plugastwa, się teraz tela naplągło!".

Narrator:

Przez pierwszy rok pobytu w gimnazjum mieszkałem w bursie, potem jednak rodzice doszli do wniosku, że nie mogą pokryc takiego wydatku i przez następnych kilka lat dojeżdżałem do Cieszyna.

Grażyna Kubica :

Czym były dla mnie te lata dojeżdżania? Zawdzięczam im wiele. Nauczyłem się i przyzwyczaiłem do wczesnego wstawania. Z domu wychodziłem o 6, a gdy leżał śnieg i o tej porze ścieżki nie były przetarte, to o piętnaście czy dwadzieścia minut wcześniej. Wstawałem więc o 5.30 i to przyzwyczajenie pozostało na całe życie, dzięki czemu większość prac pisarskich wykonywałem wczesnym rankiem, przed pójściem "do pracy". Odrobiwszy wczesnym rankiem pisarską "normę", mogłem potem spokojnie "urzędować", gdyż dzień nie mógł już zostać zmarnowany. Codzienne chodzenie do dworca i z powrotem pozwalało mi na utrzymanie "bieżącego" kontaktu z przyrodą - mogłem obserwować każdy przejaw każdej pory roku, oglądać cykle życia drzew i ptaków, cykle wzbierania i wysychania Gościradowca i Wisły i cykle pracy ludzi w polu.

Nauczyłem się odrabiania lekcji w poczekalniach i pociągu, gdyż w domu od wiosny do jesieni trzeba było pomagać w gospodarstwie, a jeżeli odrabiałem lekcje, to w kuchni, przy lampie naftowej stojącej na odwróconym garnku na stole, gdzie skupiało się całe życie gospodarstwa. Wytworzyłem więc sobie umiejętność skupienia się i do dziś mogę pracować w każdym gwarze, mogę pisać swoje teksty na zebraniach, w każdych warunkach.

Nauczyłem się traktować trudności jako rzecz naturalną, z którą się trzeba rozprawić. Nie była to moja postawa indywidualna. Cała gromada moich kolegów dojeżdżających z okolicznych wsi do szkół w Cieszynie czy Bielsku traktowała tę postawę jako oczywistą.

Dojeżdżałem przez cztery lata, a w ostatnim roku, maturalnym, zamieszkałem znowu w Cieszynie, na prywatnej stancji, dzięki pomocy szwagra. Gdy zamknę oczy, widzę znowu Cieszyn, domki, stacyjki, bażanty, krzaki, dolinę Bobrówki, wzdłuż której pociąg jechał od Bażanowic (gdzie była hodowla bażantów) do Cieszyna, taką jaka ona była wtedy.

Narrator:

Nie wiem, czy wycieczki zostały przejęte od kąpielorzy, czy też zaszczepili je nauczyciele w szkole, organizując co roku dla dzieci wycieczkę w góry, czy też były to echa wczesnego ruchu turystycznego mającego dawne tradycje - w każdym razie chodzenie w góry było swego rodzaju obrzędem i uroczystością.

Grażyna Kubica:

Jak przez mgłę pamiętam taką rodzinną wycieczkę w którąś niedzielę. Tata przygotował drabiniasty wóz, poustawiał na nim ławki, w drabiny wplótł gałęzie lipy, których szerokie i gęste listowie dawało cień. Mama przygotowała zapasy żywności i smakołyki jak na święto. Brat mamy przyprowadził z Pustek konie. Pojechał z nami także młodszy brat, a może i młodsze siostry, mamy. Wyruszyliśmy wczesnym rankiem. Drogą przez Brzezinę do wywozu, brodem przez Wisłę, a potem pod górę drogą przez Ustroń, Polanę, przez Obłaziec, gdzie Wisła przebija się przez góry dość wąskim gardłem, przez wieś Wisłę wzdłuż koryta coraz węższej rzeki, w stronę jej źródeł pod Baranią.

I pamiętam, jak bardzo bolały mnie mięśnie nóg i z jaką radością usiadłem na ławce między drabinami wozu. Wracaliśmy już w nocy i ta jazda przez góry, pod gwiazdami miała niesamowity urok, tu przecież niedaleko była Malinowska Skała z wielką jaskinią, w której mieszkali zbójnicy i nie wiadomo było, czy na nas nie napadną, a ponadto przecież z lasów nad górskie potoki wychodziły nocznice rzucające uroki na ludzi i ściągające konie na bezdroża.

Wycieczki szkolne były zupełnie inne. Szła cała gromada, zazwyczaj kilka klas razem na Równicę, a wyższe klasy na Czantorię lub na Stożek do Wisły. Nauczyciele pilnowali krzyczącej gromady. Do tradycji i obyczaju należało śpiewanie, może w ten sposób nauczyciele ułatwiali sobie pilnowanie rozbieganych dzieci. Na wycieczkę wkładało się buty, ale z wycieczki wracało najczęściej z butami przewieszonymi na sznurowadłach przez ramię. Żywność przygotowywała mama, zazwyczaj chleb z masłem i kiełbasą, co wybitnie podnosiło wartość wycieczki, niezależnie od tego, że był to dzień wolny od zajęć szkolnych. Do największych jednak uroków należało kupowanie w schronisku gazowanej lemoniady.

Boże Narodzenie

Narrator:

Boże Narodzenie to była zima, śnieg i mróz, bo w dawnych czasach mojego dzieciństwa świat był dobrze uporządkowany, śnieg spadał na św. Marcina, by dzieci mogły śpiewać: "hej na białym, hej na koniu, święty Marcin jedzie już". I potem leżał do Bożego Narodzenia.

Dr Lidia Szkaradnik:

Dalej Boże Narodzenie to była wigilijna wieczerza, po całodziennym poście, przez cały nieskończenie długi dzień dzieci musiały bardzo uważać, by nie narazić się na uderzenie ręką mamy, bo dziecko uderzone "na Wiliję" było bite przez cały rok. A to czekanie o głodzie na dobrą wieczerzę, czekanie na drzewko i prezent pod nim, było niesłychanie długą torturą.

Do wieczerzy zasiadaliśmy później, nie z pierwszymi gwiazdami, bo w Wilię trzeba specjalnie zadbać o krowy, świnie i resztę żywego dobytku, psa i koty też się lepiej karmiło niż zazwyczaj. Bo ta noc, gdy się Chrystus rodził, decydowała i o całym przyszłym roku, o urodzajach, o zdrowiu ludzi i zwierzaków, więc przed zasiadaniem do stołu dużo roboty musiano wykonać. A gdy robotę skończono, mama szorowała dzieci i siebie, tata też się mył, wszyscy czyści i świeżo ubrani zasiadali do stołu, na którym zapalano świecę osadzoną w świeczniku wypolerowanym "Sidolem". Odśpiewaliśmy "pobożną pieśniczkę", tata odmówił okolicznościową modlitwę i zaczynaliśmy jedzenie. Jeżeli się nie mylę, to zawsze od kapusty specjalnie ugotowanej na słodko, z chlebem. A potem po kolei trzeba było zjeść trochę wszystkiego, co rodziło pole, by się w przyszłym roku znowu urodziło. Były przysmaki, na które czekaliśmy z niecierpliwością. "Gryzek w mlyku", czyli kaszka manna ugotowana w mleku, na słodko, i polana przyrumienionym masłem, a na zakończenie była herbata, ciastka, potem orzechy, jabłka, zapalone świece na drzewku i prezenty po wieczerzy - i ta radość siedzenia na ławce za stołem w ciepłej kuchni, gdy za oknami z lodem na szybach zimna noc pełna dziwów i czarów.

Lecz urok Bożego Narodzenia to była także "jutrznia", nabożeństwo odprawiane w bardzo wczesnych godzinach zimowej nocy. A w kościele było jasno, choć zimno. Kościelny poustawiał świece na ławkach i wszystkie rodziny parafian, przychodząc do własnych, na stałe przydzielonych ław, zapalały swoje świece i to stopniowe rozbłyskiwanie kościoła coraz to nowymi światłami, wydobywającymi z mroku nowe twarze, w kłębach pary ze śpiewających ust, stanowiło największy urok tego nabożeństwa.

W jakimś sensie Boże Narodzenie było świętem nas, dzieci, bo przecież wszystkie wielkie wydarzenia tej nocy obracały się wokół małego dziecka, przed którym kłaniali się królowie, pasterze i krowy.

Wielkanoc

Narrator:

Wielkanoc znacznie później przemówiła do wyobraźni góralskiego dziecka. Misterium ukrzyżowania, męki, odkupienia i zmartwychwstania, to wszystko było takie dalekie, w porównaniu z dobrze znajomą stajenką, pasterzami, owcami i krowami, które łączyły codzienność z wielkim świętem. Stąd najpierw do wyobraźni przemówiła strona obrzędowa święta, zakres prac, których ono wymagało i obowiązek dbania, by obrzędom stało się zadość.

Dr Lidia Szkaradnik:

Te święta nie miały cudownej atmosfery drzewka i jutrzni w mroźną noc. Bóg-człowiek umierał na krzyżu, także za swoje grzechy - to przekraczało zakres naszych spraw. Wielkanoc jednak miała swoje uroki. Była wiosna, szumiały wezbrane potoki i wtedy, gdy gadające wodą zbocza gór już do mnie przemawiały, wytworzyłem sobie własny obraz święta Zmartwychwstania.

W zakresie spraw gospodarczych to było zamiatanie podwórka i czyszczenie gruntowne obejścia, to było potrząsanie drzewami owocowymi w sadzie (żeby dobrze obrodziły), gdy znowu odezwały się dzwony. To był ścisły post w Wielki Piątek, śpiewanie pieśni z kancynoła o męce pańskiej, chodzenie do kościoła, by tę mękę rozpamiętywać i czytanie odpowiedniego kazania z postylli. Ale dla nas, dzieci, było to święto ponure, chociaż wierzyliśmy, że wielkie, bo bez ukrzyżowania nie ma zmartwychwstania, a więc i odkupienia.

Dla mnie jednak Wielkanoc rychło nabrała innego sensu, gdy zacząłem czytać i gdy przeczytane treści przenosiłem w otaczający świat. Wtedy Wielkanoc stała się także świętem zmartwychwstania roślin, wody wyzwolonej z lodu i śniegu, świętem potoczków, zakwitających bazi, kwiatków nieśmiałych na pozór, lecz hardo wyzywających przymrozki czy marcowe zawieje śnieżne. Czasem Wielkanoc wypadała na wczesną wiosnę, a czasami już na dojrzały i rozwinięty wiosennie kwiecień. Szczególna wartość Wielkanocy dla dzieci tkwiła w wakacjach szkolnych. Wprawdzie dziecko chłopskie uczestniczy wtedy w pracy w polu, ale ta praca także objawia lśniącą ziemię odwróconą pługiem, chmary ptactwa idące za bronami, wezwanie wiosennego słońca skierowane ku wszystkim wysiewanym ziarnom i zagrzebanym sadzeniakom.

Wielkanoc przychodziła jak wiosna, była jej składnikiem, była świętem, które wiośnie nadawało swoisty sens.

Narrator:

Chociaż umarł, gdy liczyłem sobie trzy lata, pamiętam go dobrze. Nie tylko z portretów, ale przede wszystkim z opowiadań taty. Że był cesarzem dobrym, mądrym i opiekunem ludu.

Prof. Zygmunt Kłodnicki:

Czym był cesarz? Był symbolem trwałości i porządku prawa. Chłop nie miał wiele praw, ale te które miał, respektowano, bo cesarz nad tym czuwał. Chłop pracował ciężko i z trudem zarabiał korony i halerze, ale te zarobione pieniądze miały swoją trwałą wartość. Towary przemysłowe czy spożywcze kupowane w sklepach były wykonane rzetelnie i spolegliwie - to także gwarantował cesarz. Towary były tanie, kosztowały halerze i halerz szanowano, bo na nim widniał portret cesarza, i cesarz zapewniał wartość każdego halerza. Sądy wydawały wyroki sprawiedliwe, bo bały się cesarza. Od siebie dodam, że w tych czasach tata był młody i świat miał w sobie ten urok wypromieniowany z młodości, także na postać cesarza. I wszyscy staruszkowie wspominający cesarza, nie mieli, wtedy gdy on rządził, ani reumatyzmu, ani przepukliny, ani astmy i świat z cesarzem był o wiele piękniejszy. Cesarz stał się symbolem dobra i jako taki pozostał w pamięci taty i jego rówieśników, jako podstawowa miara i punkt odniesienia. Jako cesarz był lepszy i wyższy od królów.

Przez wszystkie zmiany państw, rządów, ustrojów, przechodzących przez Ustroń po pierwszej wojnie światowej, legenda cesarza wprawdzie ulegała odrealnieniu, ale nabierała blasku. Portrety Franciszka Józefa i ostatniego Karola szarzały, gdy zjawili się kąpielorze, powędrowały na strych, ale fotografia taty w mundurze wojskowym, z portretem cesarza w winiecie, wisi ciągle na ścianie. W końcu mit cesarza pozostał jak resztki zorzy po zachodzącym słońcu, jako wspomnienie po czymś wielkim i wspaniałym, co nie da się opowiedzieć i o czym nie warto opowiadać, gdyż nikt już tego nie zrozumie.

Rodzice

Narrator:

Podstawowym elementem wieczności dziecięcego świata byli rodzice. Od nich się wszystko zaczynało i oni decydowali o wszystkim. Oni tworzyli wszystko, co ważne w życiu. Toteż, gdy zaczęto mnie uczyć o Bogu - Ojcu wszechmogącym, był on, rzecz oczywista, czymś w rodzaju taty, tylko mieszkał w niebie.

Prof. Zygmunt Kłodnicki:

Ojciec był mężczyzną rosłym, wysokim, póki wiek i ciężka praca nie przygięły go ku ziemi. Odznaczał się niezwykłą siłą fizyczną. Był bardzo inteligentny, miał doskonałą pamięć, bardzo lubił czytać książki, prenumerował dwie gazety, "Głos Ludu Śląskiego" i "Posła Ewangelickiego". Interesował się historią, wprawdzie nie zbierał tylu książek co ujec Wantuła, ale w domu książki zawsze były. Mama, niedużego wzrostu, o bystrych, inteligentnych, czarnych oczach, miała dużą ambicję pokazania, jaką ona jest dobrą gospodynią, jaki jej dom jest czysty, krowy umyte, ściany pobielone, podwórko pozamiatane, a dzieci zadbane i dobrze wychowane.

Mama bardzo dbała o nas, kąpała nas co tydzień w żberku, a potem, gdy podrośliśmy, pilnowała, byśmy się zawsze myli czysto. Trudno sobie teraz wyobrazić, jak można było wieczorem umyć czysto stopy czarniejsze od matki ziemi, ale przed pójściem spać należało je szorować starannie.

Teraz, z tej dalekiej perspektywy, widzę, że było to wychowanie metodą najskuteczniejszą ze wszystkich opracowanych przez pedagogikę, chociaż nie sądzę, by rodzice kiedyś to słowo słyszeli, a mianowicie wychowanie przez przodownictwo i przez współuczestnictwo. Rodzice nie byli surowi, lecz tylko wymagali od nas tego, czego wymagali od siebie, to znaczy bezwzględnego wykonywania obowiązków. Nie stał nad nimi żaden majster ani ekonom, ale stała twarda konieczność życia, czekały krowy i trzoda, a "krowski" ogon był batem daleko bezwzględniejszym niż bat jakiegokolwiek wyzyskiwacza. Krowy i wieprzki żywiły, ale dobre obchodzenie się z nimi wynikało raczej z poczucia zobowiązania niż z kalkulacji. Rodzice wprowadzali nas w ten świat zobowiązań, a zarazem przyjaźni wobec zwierząt, zobowiązania wobec ziemi, drzew w ogrodzie i uprawianych roślin w polu. Życie ich było niesłychanie ciężkie, praca od świtu do nocy codziennie, latami i bez perspektywy na jakąkolwiek zmianę. Istotę swojego człowieczeństwa widzieli w pracy, rzetelności, uczciwości, starannym ciułaniu drobnych oszczędności tak często niszczonych przez wojny i kryzysy.

To życie było obowiązkiem wobec gospodarstwa, wobec dzieci i przyszłych pokoleń, wobec Boga i wobec społeczności.

USTROŃ, 23.09.2003 R.

Narrator:

Świat mojego dzieciństwa był mały i niekształtny. Tuż za domem zamykał go stożek Żoru, góry sławnej z powodu Piniężnej Dziury znajdującej się na jego stoku. Na prawo wznosił się znacznie wyższy szczyt Równicy, trochę cofnięty i jej grzbiet spadał przez Wysznią Kępkę nisko, aż do Skalicy, nad rwący bieg Wisły. Za rzeką wysoko wznosił się długi groń Wielkiej Czantorii, w której w jakiejś jaskini spali rycerze

Prof. Daniel Kadłubiec:

Centrum tego świata znajdowało się na Zawodziu, w Brzezinie, zaczynającej się tuż za płotem koło stodoły, na podwórku między domem i stodołą. Nad stodołą ogromne lipy i jasienie - stoją tam do dziś - jako najwyższe drzewa w okolicy nadawały obiektywny sens i ważność temu centrum. Tu także niebo było najwyżej i z trudnością wyobrażaliśmy sobie ludzi na nizinie, w Skoczowie, którym niebo spadało na głowy. Po drugiej stronie domu stała obora i chlewiki dla świń. A koło obory buda psa. Taki był naturalny porządek świata, dom, stodoła, obora, chlewiki, buda dla psa, płot koło sadu, ogródek z jarzynami i kwiatami. Płoty gdzie trzeba, furtki, dom sąsiada za jego sadem i u niego też stodoła, obora i buda dla psa. Do tego świata należały kury, gęsi, krowy, prosiaki, wielkie świnie i pies na tych samych zasadach co i ludzie, z tym jednak że miały one znacznie więcej praw niż ludzie. Bo ludzie byli przede wszystkim po to, aby "robić kole dobytku".

Ten krajobraz był przede wszystkim pełen słońca, które zostało pod powiekami do dziś. Zdarzały się oczywiście i dnie chmurne, i deszcze, ale najmocniej pamięta się słońce i burze. Burze wyskakiwały najczęściej z Goleszowskiej Górki i szły najpierw białawym pasmem na tle czarnej ławy chmur. Rozświetlały je smugi ognia, sklepił potężny grzmot. Niosły wichurę walącą zboża i łamiącą drzewa, rozrzucającą snopy z mondeli czy siano z orstwi. Nie istniały w naszym świecie, przychodziły skądinąd, spoza naszego świata, były przejawem zła tej obcości spoza naszego świata. Gdyż wszystko, co nie nasze, mogło być złe i groźne. Nasz świat był najdoskonalszy, a ponieważ nasz dom stał w jego centrum, więc w tym domu było wszystko najlepsze na świecie.

Gościradowiec

Narrator:

Tuż za stodołą, za lipami, przechodziła droga – wtedy dwie kamieniste koleiny – a tuż za nią był brzeg głębokiego jaru, w którym płynął potok Gościradowiec. Ten potok był w moim życiu niesłychanie doniosły. Stanowił objawienie nowego żywiołu – wody

Prof. Daniel Kadłubiec:

Potok był istotą żywą, ściśle współżyjącą ze słońcem. Był przesycony jego blaskiem, nie tylko odbijał słońce, ale więził jego promienie, nasycał się nimi, błyszczał i świecił wśród kamieni i kęp smreków. Potok miał liczne wodospadziki i większe wodospady, niektóre naturalne, inne sztuczne, a pod wodospadami były plosa, głębokie i pełne dziwów. Jasna, świecąca i przejrzysta woda, w plosach stawała się ciemna i tajemnicza.

Woda spadająca z wodospadu, rozpryskująca się na kamieniach, gadająca wieloma głosami była bliska czarów. Pod nią po kamieniach chodziły plamy światła, kręte i migające smugi, na kamieniach osadzała śliski porost, była ciepła dla nóg w słoneczne dni lata. Ale wiosną, gdy zbocza gór zaczynały spływać setkami potoczków, Gościradowiec wzbierał płową falą, podnosił wściekły ryk, pienił się na kamieniach, toczył je z hukiem, spadał hałaśliwie z wodospadów zmienionych w wodotryski i fontanny, wyrywał i podmywał zbocza jaru. Stało się wtedy w nabożnym skupieniu i patrzyło na powódź.

Lecz powodzie mijały szybko, a w dolinę Gościradowca wpadało słońce: ścieżką w górę, w stronę Żelazistego Źródła znowu powoli spacerowali kąpielorze, rozkoszując się jego ciszą, spokojem i cichym gadaniem. Szli wśród smreków, które przed laty posadził mój dziadek, a pomagał mu ojciec, jeszcze wtedy młody chłopiec. Tak Gościradowiec odkrywał mi nowe aspekty świata - wodę, jej życie i jej prawa, ale także pierwszą pracę pędzenie i pasienie gęsi.

Potok także był nasz. Ostatnia część jego doliny, aż do ujścia do Wisły była nasza. Zatem i jego woda, ryby, kamienie, świetlistość, mowa i uroki także były nasze. Należały do naszego świata. Powyżej potok stanowił własność sąsiada. Dopiero później odkryłem potok w górach, płynący w lesie, wcięty między zboczami. Ale tam potok zmieniał charakter - był częścią gór, częścią lasu, tam mówił innymi głosami, mniej błyszczał, przesiąkał cieniem, przechodził pod wykrotami i tylko wodospadziki mówiły jasnym głosem, tak jak nasze. Z nimi można było rozmawiać, zwłaszcza w wiosennym słońcu. Z równego, płaskiego i lekko nachylonego zbocza, na którym znajdowało się centrum świata, wzdłuż potoku wchodziło się w jeszcze inną część składową świata, w góry.

Góry

Narrator:

Góry były zupełnie inną jakością niż uprawione pole czy płynący w dolinie potok. Najpierw były czymś w rodzaju płaskiej ściany zamykającej świat. Potem okazało się, że są plątaniną zboczy, grzbietów; dolin, że są siedzibą zarówno ludzi, jak i nieczystych mocy.

Marian Żyromski:

Góry i las stanowiły jedno. Las na równinie (zobaczony później) nie był prawdziwy. Las to smreki i jedle rosnące na kamienistych zboczach. To wytwór gór i ich podstawowa część składowa. Potem okazało się, że w górach są także łąki i szałasy z owcami, ale las był żywą emanacją górskich sił. Góry wynosiły las wysoko i stały tak albo w słodkim świetle słońca, albo huczące wichrem i zamiecią śnieżną, zakryte gęstą mgłą - zawsze wyniosłe i obojętne, ale ciągnące z nieodpartą siłą. Miały bowiem wielką moc podnoszenia nieba i rozszerzania świata. Pokazywały, że za Czantorią są inne jeszcze góry, za Goleszowską Górką jakiś inny świat, a za Skoczowem płaski kraj, zwany przez rodziców Żabim Krajem. Nic ciekawego. Żaby zawsze były obrzydliwe.

Najpierw chciało się wejść na szczyt, by dotknąć ręką nieba. I to już pozostało na całe życie - jakiegokolwiek nieba chcesz dotknąć, musisz wejść na szczyt, to znaczy pokonać swoją słabość, zmęczenie, zniechęcenie, musisz chcieć i potrafić. Piąć się mozolnie kamienistym zboczem lub brnąć w buczynowym liściu i wierzyć, że nagle las się skończy, wzejdzie łąka na grzbiecie i świat się otworzy daleki - ale niebo, to dla którego się męczyłeś, odsunie się znowu wysoko, aż wreszcie zrozumiesz kiedyś, że nieba nigdy nie dotkniesz. Ale góry miały z niebem jakiś pakt. Niebo otulało je chmurami aż do podnóży. Rankami, gdy za Równicą zasrebrzyła się zorza, góry rysowały się czarno i ostro, jakby one wchłaniały ciemność nocy. Może to one zjadały ciemność i pozwalały wzejść słońcu? Góry zmieniały wygląd razem z niebem. A niebo było przecież synonimem Boga, bo on w nim mieszkał i kształtował je, a zatem i góry uczestniczyły w tej boskości nieba.

Góry umiały przekształcać świat, wysoko na ich zboczach rosła inna trawa, rosły inne drzewa, a buki, które w dolinie potoku były potężne i rozłożyste, na szczycie Równicy robiły się małe, krępe, zwinięte w sobie - bo część swojej siły musiały oddać górze, na której rosły. I ludzie z gór byli inni - jakby część siebie musieli oddać górom, otrzymując jednak coś za to w zamian. Nigdy nie mówili o tym, ale było to oczywiste, wypisane na ich pooranych twarzach, że noszą w sobie część tego górskiego świata i jego wielkości. Żyli ciężko, bo w górach był początek wody i koniec chleba. Ale dotykali chmur, żyli na pograniczu nieba, żyli w przymierzu z lasem, więc mieli w sobie coś z jego inności.

Chodniki

Narrator:

Bardzo szybko odkryłem i zaakceptowałem jako niewzruszone prawo, że w świecie można się poruszać w sposób ustalony i tylko po śladach przetartych przez przodków. A tam, gdzie oni chodzili, pozostały wydeptane chodniki.

Marian Żyromski:

Gdzie nie ma chodnika, tam nie wolno chodzić. Obok chodnika czyhały niebezpieczeństwa, ale także zwykłe poszanowanie obyczaju tego zabraniało. Chodniki, wydeptane wąsko, dawały prawo poruszania się w przestrzeni, która przecież była podstawą życia. I zanim chłopskie dziecko uświadomiło sobie, czym jest świat, uznać musiało jedną prawdę niewzruszoną: ziemia daje życie, ziemi nie wolno bezkarnie deptać tam, gdzie się chce; o tym, jak się po ziemi poruszać, zdecydowali przodkowie - wydeptali chodniki. Chodniki biegną po miedzach i po lesie, przecinają pastwiska wąziutkimi wstążkami. Koło chodnika rośnie trawa dla krów. A trawy na podgórskim gruncie było mało - surowy obyczaj zabraniał deptać trawę. Ale były także względy magiczne - poza chodnikiem mogły działać czary, a złe czarownice rzucające uroki na ludzi i dobytek, czarujące na miedzach i łąkach, by zabrać krowom mleko, chodziły właśnie poza chodnikami. Każdy więc, kto nie szedł chodnikiem - albo nie szanował obyczaju, albo miał złe zamiary, albo był obcy i mógł także stanowić zagrożenie, albo narażał się na niebezpieczeństwo spotkania żmii, złego ducha, nocznicy. Chodniki były przedłużeniem bezpiecznego domu, były ręką przodków wskazującą, jak bezpiecznie poruszać się w przestrzeni wrogiego świata.

Najważniejszy chodnik wiódł od naszego podwórka, przez furtkę koło obory, wchodził na Kubokowe miedze i tuż pod Kępą szedł na Pustki. Był to bardzo ważny chodnik. W 1903 roku przyszła nim mama z Pustek, by zostać żoną mojego ojca, a przedtem ojciec musiał nim chodzić na zaloty. Był to chodnik pierwszych wypraw do starzyków, do gromady sióstr i braci mamy, chodnik pierwszych samodzielnych wyjść w daleki świat, tak dalekich, że dom i nawet jasień nad chlewem znikały z oczu za wzniesieniem.

Z Kępy, w słoneczne dnie późnej wiosny, między zielonosrebrnymi zagonami owsa, brązowiejącego żyta i złotawej pszenicy falującymi w rytmie posłusznym wiatrowi, można było widzieć na miedzach ciemniejące nitki chodników, a na nich rzadko gdzie postacie ludzi idących nieśpieszno a spokojnie - wiedzieli, dokąd idą i ile im to czasu zabiera. Bo chodnik, którym szli, mieli od dzieciństwa wpisany w rytm życia.

Dziś Zamarły pola, zasypane kamieniami z wykopów. Zniknęły chodniki, zastąpione asfaltowymi strugami. Zniknęło to wszystko, co chodniki znaczyły: bezpieczeństwo, opiekę i czujność przodków, obyczaj i szacunek dla rodzącej ziemi, uporządkowany rytm poruszania się w przestrzeni. Chodniki były wyrazem ładu społecznego i czynnikiem porządkującym, były przejawem przymierza człowieka z życiodajną ziemią. Sprowadzały do minimum niszczenie ziemi, jej deptanie. Nie ma chodników, jest już nieograniczone zabijanie żywej powierzchni ziemi.

Ziemia

Narrator:

Ziemia – to było coś bardzo konkretnego. To to po czym się chodziło. Podłogo w domu, czyli deliny, też były ziemią. Gdy coś spadło na podłogę albo leżało na niej, mówiło się że spadło na ziemię lub leży na ziemi

Dr Jan Olbrycht:

Ziemia to bezlitosny, twardy przymus, dyktujący rytm życia codziennie, rok po roku rytm pór roku, w których ziemia stawiała swoje wymagania. Dziecko wrastało w ten rytm jako naturalny. Ranek miał swój porządek działań i każda pora dnia miała inny. Ale za tym rytmem stała gdzieś przyczyna pierwsza - bezwzględny nakaz ziemi, która dawała chleb i życie tylko pod bardzo surowymi warunkami. Ziemia wymagała orki, pracy rąk, potu i trudu nieludzkiego, a ponadto modlitwy, zabiegów magicznych, ochrony przed czarami i przed siłami naturalnymi.

Ziemia zapewniała życie, a ceną życia była praca. Lecz stosunek człowieka do ziemi był bardzo złożony. Bo przecież grunt uprawny to dzieło człowieka. Pastwisko w brzezinie i koło brzeziny to dzieło mojego ojca, który ten dziewiczy kamienisty las przekształcił w ziemię rodzącą trawę. Najpierw kilofem podważał i na taczkach wywiózł kamienie i te wielkie, i te małe, potem kopaczką wraz z mamą skopali i skruszyli twardy stok podgórski, przerzedzili brzozy, pousuwali krzaki - stworzyli grunt uprawny. A pola w zagonach też przecież tworzyli na nowo co roku, służyli ziemi każąc jej rodzić. Podstawową sprawą było wyzwolenie ziemi od kamieni - kamień nie rodził nic. Był symbolem bezpłodnego trwania. Mógł więc trwać w murkach koło pól i pastwisk czerniejąc i pokrywając się mchem.

Ta wiedza o ziemi, kamieniach i gruncie wchodziła w umysł dziecka od pierwszych lat, niemal pierwszych miesięcy życia, kiedy wiosną czy latem zabierano je w pole, gdzie leżąc zawinięte w pierzynce w bruździe między zagonami czy w trawie na miedzy, samo odkrywało bezmiar nieba, grę słońca i chmur, odkrywało także rytm przymusu obwieszczanego mu szczękiem kopaczek w kamienistym zagonie.

Trawa

Narrator:

Wiedza o życiu zdobywana wcześnie przez chłopskie dziecko musiała obejmować spory ładunek wiadomości o trawie. Bo od wiosny do jesieni chodziło się boso i trawa była tym dywanem między delikatną na wiosnę stopą i szorstką ziemią

Dr Jan Olbrycht:

Ten świat traw był bardzo zróżnicowany. Kępy łopianu przerośnięte pokrzywami i ostami stanowiły matecznik nieprzeniknięty. Tam bytowały wielkie żaby i obrzydliwe ropuchy wywołujące strach i obrzydzenie. Nigdy nie było wiadomo, jaki zły duch jest ucieleśniony w tej właśnie leniwej i bezczelnej ropusze patrzącej pogardliwie i obojętnie. Toteż do kęp zielsk stanowiących ich żerowiska podchodziło się tylko w wypadkach nieuniknionej konieczności. W trawach były także kwiaty i gdy miałem już kilka lat, wiedziałem, że kwiaty są ukoronowaniem wielkiego wiosennego misterium. Samo słowo "misterium" usłyszałem chyba po raz pierwszy po wielu, wielu latach, ale zanim poszedłem do szkoły, wiedziałem, co to jest misterium zmartwychwstania traw, wychodzących cieniutkimi kiełkami z mokrej ziemi, skąd słońce spędziło śnieg. Była to zapowiedź wielu radości, jakie niosła ze sobą wiosna, ale była to także okazja, by sobie samemu opowiadać nadzwyczajności dziejące się w świecie bajek, to znaczy właśnie w trawie. Do młodej trawy wracały muszki - małe, nieszkodliwe, starannie odróżniane od pszczół, groźnych os i poważnych trzmieli - żuczki, mrówki, glisty trochę obrzydliwe, ale tajemnicze, bo żyjące w ziemi - wszystko to zjawiało się z zimowego niebytu, przywołane słońcem tak mile grzejącym grzbiet leżącego dziecka. Gęstwina trawy, trawy, w którą można było schować twarz, rozrastała się wtedy do ogromnych zielonych przestrzeni. Każde źdźbło było inne, każdy długi, wąski liść miał inny kształt, kolor, inne zagięcia i inne nachylenia. Był to świat nieskończenie różnorodnych kształtów i postaci. Istniał między mokrą ziemią, której trzymał się z ogromną siłą i słońcem gdzieś wysoko. Trawa trzymała się ziemi. Twardo i z uporem. Zrywały ją krowy szerokimi zamachami języków, ścinały kosy, zrywali ludzie dla różnych celów - korzenie zostawały w ziemi i trawa odrastała.

Trawa zerwana czy skoszona schnie. Schnie każda odłamana od korzeni gałąź drzewa czy krzaka. Korzenie są życiem. Wiedzieliśmy to, jak wiedzieliśmy, czym jest woda i słońce dla roślin, czym strawa dla bydła i czym grunt dla chłopa. To było oczywiste. Przecież cała męka chłopskiej pracy sprowadzała się do tego, aby żyto, ziemniaki, owies, marchew, groch i to wszystko, co się sadziło i wysiewało, zapuściło dobre korzenie.

Trawa rosła sama. Była wieczna. Nie trzeba było jej wysiewać. Na najbardziej zrytej i zdeptanej ziemi, wiosną wychodziły kiełki traw. Sama sobie tworzyła korzenie. W tym była krewną każdej chłopskiej rodziny.

Siano

Narrator:

Siano było z trawy i koniczyny. Łączka pod siano była nieduża , trochę podmokła...Siano z tej delikatnej trawy było miękkie i karmiono nim młode cielęta, gdy zaczynały przechodzić z diety mlecznej na normalny krowi wikt. Koniczynę wsiewano do żyta, pielęgnowało się starannie, kosiło dwa razy w roku.....

Aleksander Dorda:

Dobrze po czternastym roku życia zacząłem sam próbować kosy, ale na długo przedtem wiedziałem, że koszenie "kończyny" to robota ciężka i mordercza. Ojciec sam nie dawał rady, więc dopraszano jeszcze innych kośców, najczęściej przychodził Cieślar, niedużego wzrostu, ogromnej siły fizycznej, dobroduszny i zawsze wesoły. (Był on "wieczny", pamiętam go, gdy byłem zupełnie mały i pamiętam, jak kosiliśmy razem w latach mojej już mijającej dojrzałości). Wychodzili o świcie i mama zanosiła im w pole pierwsze śniadanie, potem "podobiadek", na obiad przychodzili do domu. Wypijali po dwa kieliszki wódki, jedli rosół z wędzonej wieprzowiny, ugotowane w rosole mięso z "zasmażoną" kapustą i znowu szli w pole; koło czwartej mama przynosiła im w koszyku "swaczynę". Na wieczerzę wracali już dobrze po zmroku.

Następnego ranka prosto ułożone i grube pokosy trzeba było rozrzucić. Gdy podeschły w słońcu, obracało się je grabiami o rzadko nabitych zębach, a gdy ta strona także obeschła, około południa należało siano przewrócić raz jeszcze. Wtedy pachniało już mocno, było suche. Po obiedzie, tata kładł na "trakacz" kilka orstwi, wiózł w pole, wbijał je w regularnych odstępach, a baby z grabiami o gęstych zębach grabiły starannie, tak by ani jedna łodyga nie pozostała na zagonie. Gdy tata przywiózł i wbił dosyć orstwi, zaczynał w nich układać siano tak, by się dobrze trzymało na wystających prętach. Robota musiała być skończona przed wieczorną rosą. Mama oczywiście też grabiła, ale musiała prócz tego po południu znowu przynieść w pole swaczynę, a wieczorem przygotować kolację.

Doniosłość siana stała się dla nas, dzieci, bardzo wcześnie oczywista. Było to mleko w zimie; w sianie spały koty, a potem przychodziły do kuchni pachnące aromatami traw. Gdy podrosłem, lubiłem sypiać na sianie, które nawet po ułożeniu w szopie żyło nadal pełne szelestów, dziwnych głosów, jakby duszki, które nie zdążyły odlecieć ze skoszonych kwiatów, opowiadały sobie swoje tragedie.